

KORDIAN

Moja babka uchroniła tradycję...

Moja babka uchroniła tradycję oraz istotę polskości w moim życiu przed złaniem się z bezrefleksyjną jego codziennością. Pilnując, bym doświadczył ich poprzez właściwy im urok oraz charakter, pokrzepiający i solidarnościowy, zapewniła, by wartości te nigdy nie figurowały dla mnie jako banalny dogmat, gdyż zgodnie z jej przykładem, nasze obyczaje to rzecz piękna, którą świadomie decydujemy się celebrować i której to celebrowanie zobowiązuje praktykantów do najczulszej o nią troski.

Obyczajowe powinności nigdy nie zostały mi dydaktycznie wyłożone, a raczej w tradycję wrastałem ze starannie gromadzoną na przestrzeni lat świadomością. Rodzina normatywnych wierzeń i poglądów ode mnie nie oczekiwała. Nie zostałem wychowany nawet na katolika, ale katolikiem mogłem jak najbardziej zostać. Choć religijna obrzędowość czy formalne religioznawstwo od zawsze były w moim życiu obecne, to nauczania kościelne i natchniona wiara były czymś, z czym przyszło mi obcować dopiero z własnej inicjatywy, kiedy to do podjęcia tejże inicjatywy dojrzałem. Rodzice bowiem, jak i najbliższa rodzina, zawsze dopatrywali pozostawienia mnie nieskrępowanej autorytetami eksploracji duchowości. Pomimo że babciny dom na obrzeżach miasta pozostawał nienaruszonym pomnikiem polskości na cokole tradycji, to sama babcia – będąca zadeklarowaną katoliczką – nie życzyła sobie naruszenia mojej swobody traktowanej wśród krewnych jako zasadnicze prawo dziecięcego wieku. Gwoli najściślejszej szczerości – babunia wolność traktowała jako zasadnicze prawo każdego jednego człowieka. W roli gospodyni rodzinnych wieczerzy wigilijnych oraz śniadań wielkanocnych, zawsze serdecznym uściskiem witała na swym progu tych, dla których był to czas poruszający duchowo, czas istotnych obrzędów sakralnych, jak i tych zasiadających do jej stołu, traktujących te spotkania niby spędzanie rodzinny uwikłany w jedynie symboliczne rytuały społeczne. W tejże roli gospodyni cieszyła się możliwością podzielenia się z gośćmi swoimi sentymentami, wiarą i kulturą - gdzie zaś takowe przesłanki wpasowywały się w wartości taty, cioci czy kuzyna nie zaprzętały jej myśli tak długo, jak wszyscy dawali się sobie nacieszyć rodzinnym ciepłem, jakie oferowała.

W kościołach jako dziecko bywałem, lecz nigdy pod przymusem. Parokrotnie odwiedziłem parafię babki – zazwyczaj bywałem tam, aby nacieszyć się architektonicznie olśniewającym i spokojnym wnętrzem budynku, a raz w ramach zaspokojenia mojej ciekawości, konceptem mszy świętej. Okazje na takie odwiedziny jej lokalnego gmachu

Bożego nadarzały się nierzadko, bo w trakcie licznych dni spędzanych w jej domku, otoczonym urokliwością suburbannej małomiasteczkowości, kiedy to babcina opieka nad mną wspomagała zapracowanych rodziców. U babci spędzałem ferie, popołudnia poprzedzone lekcjami oraz smętne dni niefortunnych zachorowań. Kobieta musiała być zmęczona zobowiązującą rolą opiekunki. Jakże mogłaby nie być, gdy rodzina wzbogaca się o nowe pokolenia, tyle zmienia się naokoło, a jej rola wychowawcza zdaje się tymi rewolucjami nieruszona i wciąż istotna jak zawsze? Azaliż wychowanie syna, córki i wnuków czyniły ją dumniejszą i radą, niżeli utyraną. Tak mniemałem, gdyż nigdy nie dawała sforsowania po sobie poznać – zawsze witając mnie u progu swych drzwi z uśmiechem dobrotliwym i rękoma stale tak samo szeroko i życzliwie rozłożonymi. Mogłoby się nawet zdawać, że rozłożonymi nieco szerzej z moją każdą kolejną wizytą. Sceny przekazywania mnie z rąk rodziców w te, przymierzone do uścisku, należące do babki, naznaczone zawsze były wielkim kontrastem symbolicznym. Rodzice stali już się częścią homogenicznej kultury zachodu, której codzienną rutynę wyznaczał grafik pracy, zaś babcia, już ciesząca się przywilejem niewielkich zobowiązań wobec ówczesnego świata, pozostawała wierna swoim zwyczajom starej daty. Codzienną jej rutynę wyznaczały na wskroś inne, aniżeli mych rodziców, przedsięwzięcia – wizyta w kościele, prace domowe, dogłądanie sadu, powolne wypalenie fajki wpatrując się w ów sad i czas integracyjny z lokalną społecznością. Ten integracyjny czas, jawiący się niekiedy jako spory gest organizacji nieformalnej zbiórki na rzecz schorowanej sąsiadki, a jeszcze kiedy indziej, jako drobny barter z sąsiadem, tym czy innym, w postaci choćby wymiany skrzynki jabłek na szczepki peonii. Tak właśnie obserwowałem subtelne celebracje miejsca człowieka w życiu codziennym oraz zacząłem w nich brać udział. Uczyłem się delectować ucieczką od miejskiego zgiełku oraz pracować solennie i pomagać, polsko gotować i po polsku nie tylko mówić, ale po polsku komunikować pięknie i dobrze z drugim człowiekiem – jak ona. Aż w końcu nawet nieco się po polsku modlić. Babunia wyczekiwała mojego zainteresowania jej wiarą z cierpliwością właściwą, tak mi się zdaje, jedynie kobiecie, która od długich lat sprawowała pieczę nad pokoleniami niepokornych dusz naszego nazwiska. Jednak, pomimo jej znamiennej cierpliwości, nie skrywała poruszenia i entuzjazmu, z jakim wręczyła mi swoją Biblię, gdy to w wieku jedenastu lat pierwszy raz zagałęm rozmowę na ten temat. Po dziś dzień to intrygujący zapach babcinego egzemplarza Pisma Świętego zdaje się w moich wspomnieniach definiować ów moment, gdyż pod waniliową wonią starości, nasiąkł on także uszlachetnianym śliwownicą tytoniem fajkowym, czyniąc go tym samym harmonijnym elementem jej domu. Ponadto jednak było to dzieło upajające introligatorską kunsztownością, obite w laminowany len o dostojnej i głębokiej

barwie szafiru, szyte ręcznie wyczeskami konopnymi, z dwupoziomową kapitałką jedwabną, która to została ozdobnie wyhaftowana złotym kordonkiem. Na wzór sztuki barokowej, egzemplarz uwodził i olśniewał, był dziełem perswazyjnym. W swej perswazji był ponadto niezwykle umiejętny, gdyż Biblię wziąłem do domu i począłem studiować, częstokroć odwiedzając babkę z chęcią konfrontacji moich oburzeń czy zachwytów wywołanych lekturą, chętnie wysłuchując jej interpretacji oraz nauk, które to zawsze wygłaszała aksamitnym, wyrozumiałym głosem zwieńczonym szczerym uśmiechem. Przyznać jednak muszę, że z początku nieswojo czułem się zabierając babciną Biblię do domu. Z podarunku byłem istotnie rady, lecz pogodzić się nie mogłem z wyrzutem, który sam do siebie wystosowałem. Wyrzut ten brzmiał: „nie wypada księgi tak starej, pięknej i dostojnej prezentować nigdzie indziej jak, ułożonej z czułością, na regale równie starym, pięknym i dostojnym – a więc na regale babcinym, gdzie swoje miejsce zajmowała od lat i na pewno było jej tam bardzo dobrze”. Wraz ze swoim egzemplarzem Pisma Świętego babcia ofiarowała mi także świadectwo swojego zaufania, wiary, jaką pokładała w to, że o niego należycie zadbam. Starłem się dowieść godnym nadanego świadectwa i książkę ułożyłem (upewniwszy się uprzednio, że ulokowaniu nie grozi ani wilgoć, ani światło) na najpiękniejszym regale w mieszkanku moim i mamy – na regale ręcznie wykonanym, w warsztacie naszego sąsiada, z palonego drewna dębowego. Czytywałem zaś sprezentowane Pismo Święte wyłącznie przy pierwszej przecieranym biurku. O książkę dbałem i bardzo ją szanowałem, lecz wciąż zastanawiałem się, czy nie tęskni za babcinym pokoikiem. Rozmyślałem, czy aby nie tęskni za opuszczonym, drewnianym regalem, zdobionym inkrustacjami, który był starszy od samej babci oraz znamienicie starszy ode mnie. Czy nie tęskni za dawnymi sąsiadami, w postaci dumnej zroslichy obitych w skórzane okładki zbiorów polskiej poezji modernistycznej i niegdyś wiszącego naprzeciw niej herbu, na którym widniał dumny i połączony orzeł w polskiej koronie. Czy nie tęskni za wonną fajką, nawykowo przez babcię popalaną, której to zapachami tak ochoczo nasiąkla. Zmartwieniom moim dała ulgę babcia, wspominając, że Biblia ta wcześniej była własnością jej własnej ciotki. Ucieszyło mnie to, że nie jestem właścicielem drugim, lecz częścią liczniejszego grona, gdyż księga musiała zatem już wiedzieć, że jej domem nigdy nie będzie konkretny salon, nie ważne jak piękny i patriotycznie zdobiony. Musiała już wiedzieć, że wszędzie jest jej prawowity dom, gdzie jej nasza rodzina potrzebuje i tam też winna być rada. „Zaś regał w wieku jej podobnym i będącym godnym jej wdzięków i ja kiedyś posiadę” – planowałem.

W moich oczach księga ta stanowiła znakomity symbol wszelkiego czasu spędzonego w domu babki. Rodzinne spotkania świeckie czy też świąteczne, spacer, prace ogrodowe oraz te w jej pięknym sadzie, wspólne gotowanie, rozmowy przy herbacie, które, choćby trywialne, nasycone były zawsze najrozkoszniejszą polszczyzną, w której to wybrzmiewała lektura polskiej poezji przecinana, charakterystycznym dla jej manieri, mazowieckim dialektem. Wszystkie te doświadczenia, poprzez urok i pociechę, skłaniały do refleksji nad znaczeniem rodziny i tradycji, nad poczuciem komfortu odnajdywanym w tej solidarności. Choćby

w trakcie wspólnej wieczerzy wigilijnej - pomimo, że opłatek przełamywałem jeszcze z zawziętymi nonkonformistami rodziny zawždy w opozycji do utartych ścieżek narodowej tradycji, czy z młodymi studentami żyjącymi za granicami państwa, nietroszczącymi się na co dzień o serdeczną relację z polską tożsamością, to, zasiadając do usłanego Chrystusowym siankiem stołu - wszyscy zostawaliśmy apetytem kierowani do obrzędowości. A to za sprawą niby mieszczańskiej Wigilii z siedmiu potraw kuchennego warsztatu babki. Co wieczerzę to barszcz był najistotniejszy – postnym barszczem z uszkami nigdy nie omieszkaliśmy uroczystość rozpocząć. Barszczem, ma się rozumieć, stosownie kwaśnym, z buraków kiszonych w babcinej spiżarni, w skrzętnie ułożonych słojach zaaranżowanych w swoistej kompozycji tuż obok suszonych grzybów – prawdziwków, podgrzybków, borowików – chluby polskich lasów. Kompozycja ta wspólnie dawała świadectwo urody polskiej potrawy postnej, potrawy z dóbr żywej gleby wiejskiego pola, dóbr dostojnego lasu przemierzanego z plecionym koszykiem w tęgim uścisku, potrawy podanej do stołu przez dumną babkę, dopatrującą suszonek i słoików od jesieni danego roku i od ciemnego grudniowego poranka, poprzedzającego coroczną wieczerzę, krzątającej się po kuchni w asyście uznających jej autorytet krewnych. Gdy już wszyscy ten wspaniały i okraszony symboliką barszcz zjedliśmy, kilkakrotnie westchnęliśmy ciężko (choć uciesznie) i powinszowaliśmy wylewnie znakomitej gospodyni, sięgaliśmy po kolejną potrawę. Potrawą tą zwykła bywać przysmażana kapusta kiszona z białym grochem, która dowodziła, że na farszu uszek się użyteczność polskich, suszonych grzybów z babcinego spichlerza nie kończyła, gdyż znakomicie wzbogacały także tę właśnie tradycyjną kiszonkę. Kapusta jednakże była nie więcej jak czekadelkiem ostrzącym nasz apetyt nim przysłała pora na uciechę wieczerzy, w której to serca babci było najwięcej. Tym wyjątkowym daniem była ryba wigilijna. Na naszym świątecznym wyprawionym stole, wśród uroczystych potraw, nigdy nie figurował karp, choć dla wielu tak tożsamy z celebracjami Bożego Narodzenia. Dla babci zwyczaj jadań owej ryby w wieczerzę wigilijną był bardzo obcy, nie cieszący się zbytnią popularnością wśród jej krewnych i w trakcie

obchodów, z którymi ona sama została wychowana. Zatem, dorastając przy babcinym stole, nikt w rodzinie z tym zwyczajem nie został zaznajomiony. Takowo pozostawaliśmy kontenci w tej obcości, gdyż naszą rybą, wyczekiwaną od dostrzeżenia pierwszej gwiazdy poprzez uprzedzające ją potrawy, były śledzie. Przygotowywane zgodnie z dwoma przepisami, przekazywanymi matrylinearnie w rodzinie babci – śledzie, wybitnie polskie, w suszonych grzybach, pomidorach i śliwach oraz śledzie w śmietanie z tartym jabłkiem. Każdorazowo pięknie podane rybki stanowiły laurkę dla jej rodowej spuścizny i reminiscencji dzieciństwa, jak i świadectwo jej znamienitej umiejętności utworzenia wobec tradycji narodowej tradycji rodzinnej – w tym życzliwym, choć uniosłym poczuciu przynależności przywołać ponadto kojącą bliskość i ciepło. Dania te dużo o kochanej babce mówiły, każdy kęs wzruszał nieco, ponieważ obok świątecznego ciasta tworzyły, w moim odczuciu, poruszająco ulotny zapis jej życia. Tym świątecznym ciastem był zawsze miodownik, który babcia wiernie, od dekad kilku, wykonywała zgodnie z przepisem wyproszonym od jej współlokatorki z lat studenckich, z którą to wynajmowały wspólnie skromne mieszkanie na Muranowie. Babcia tę współlokatorkę i spędzone wspólnie długie lata osładzane wypiekami koleżanki wspominała bardzo ciepło. Zdawało mi się zawsze, że tym nostalgicznym ciepłem starała się z nami wszystkimi podzielić w trakcie wieczery. Tutaj właśnie dostrzegłem kolejną laurkę, gdyż miodownik, zgodny z przepisem dawnej towarzyski, stanowił takową dla jej lat wczesnej dorosłości, a dla goszczonych przy jej stole był przypomnieniem o bogatym i różnym życiu babki przed założeniem rodziny, przypomnieniem o tym, ile w jej osobie było doświadczenia, wiedzy, potencjalnej porady. Ponadto jednak miodownik opowiadał pewne pouczenie o istocie rodziny i tradycji. Przepisy na śledzie babka zaczerpnęła od rodzicielki, z którą to były więzami krwi zobowiązane do bliskości, zaś wypiekać rozkoszny miodownik nauczyła się od osoby, która bliską stała się gwoli przypadku, lecz oba miały swoje miejsce przy jej wigilijnym stole. Choć jedno symbolizowało lokalną tradycję jej własnego nazwiska, drugie zaś nazwiska obcego, to oba były godne przekazania jej własnej rodzinie, oba darzone ciepłym uczuciem. W całej tej słodczy serdecznego wypieku, babciną wieczerzę uzupełniały jeszcze suszone owoce oraz kompot z suszu, którego korzenna woń ogarniała calutką jadalnię. Oba były szczerze liczone przez rodzinę jako kolejno szósta i siódma potrawa, realizując tym samym rachunkowe wymogi modelu Wigilii mieszczańskiej. W zupełnej szczerości wręcz nie wypadałoby zarzucać im, iż tej roli nie spełniają, ze względu na pracę jaką to babunia musiała włożyć w doprowadzenie prostych śliwek, jabłek i gruszek do formy tak różniącej się od ich stanu pierwotnego – tym samym dowodząc wszechstronności zbiorów z jej sadu, który to bardzo kochała.

Babciny domek - ciepły i dobry - zawsze opuszczałem dumniejszy i bardziej świadom mej kultury aniżeli dumny i świadomy byłem uprzedzając ową wizytę. Dzięki niej miałem niezwykle przywilej spostrzeżenia, jak wspólne obyczaje i ich wspólne obchody uszlachetniają kontakt z drugim człowiekiem, solidaryzując, czyniąc nas częścią czegoś znacznie większego – poprzez dźwięczny język, poruszającą sztukę, wyśmienitą kuchnię, zwyczaje narodowe czy kultywowane w ramach rodzinnej instytucji i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wszystko to spowite fascynującą symboliką i wszystko to godne czci i pieczołowitej opieki, opieki na wzór tej, którą moja babcia wszystko w swoim życiu ma zwyczaj otaczać. Babcia o polską kulturę i o wiarę nigdy nie walczyła na froncie bitewnym, nie dźwigała zań karabinu i ładownicy, nie zginęła zań umundurowaną śmiercią bohaterską. Jednakowoż walczyła i walczy o tradycję, polską obyczajowość i szlachetne wartości duchowe na co dzień. Na co dzień doglądając ich przetrwania i upewniwszy się, że zainspirowała swoich potomków do kontynuowania tejże opieki nad tym, co jej - jako Polce, chrześcijance i serdecznej osobie - jest tak drogie.